

Łukasz Wróbel

Wydział Polonistyki

Uniwersytet Warszawski

e-mail: wrobel\_luk@o2.pl

Wycieczka w góry/podróż do wnętrza ziemi.  
Przestrzeń tatrzańska w *Kosmosie*  
Witolda Gombrowicza

Piotrowi Sadzikowi

[...] głuche Cienie,  
Chaosie, Flegetonie, gdzie nocy milczenie,  
Dajcie mi to, com słyszał, za waszą przyczyną  
Odkryć: rzeczy, co w ziemi i pomroku giną.

Wergiliusz<sup>1</sup>

Zakopiańska przygoda Witolda, narratora i jednego z bohaterów *Kosmosu* Gombrowicza, opisywana jest przez pryzmat podejmowanych prób radzenia sobie z oszalałą materialnością świata, wywracającą na nice wszelkie zabiegi hermeneutyczne. Z jednej strony jest „bełkot rodzącej się chwili”, „rzeczy bawiące się człowiekiem w piłkę”. Z drugiej – narzucane na ten chaos dzikiej materialności tymczasowe schematy, pozbawione motywacji stosunki kreślone przez słabego, zmęczzonego, chorego człowieka<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Wergiljusz, *Eneida*, przeł. T. Karyłowski, objaśn. T. Sinko, Kraków 1924, Ks. VI, s. 153–154.

<sup>2</sup> Sam pisarz komentował następująco: „Tematem *Kosmosu* jest wysiłek świadomości, żeby skonstruować rzeczywistość, ona zaś sama siebie niszczy, w miarę jak się formuje”. W. Gombrowicz, *Publicystyka, wywiady, teksty różne 1963–1969*, Kraków 1997, s. 313. Zob. też: K. Bartoszyński, „*Kosmos*” i antynomie, w: *Gombrowicz i krytycy*, wyb., oprac. Z. Łapiński, Kraków 1984, s. 662–663; A. Falkiewicz, *Jakaś skłonność do skądności... jakieś parcie ku sensowi*, w: tegoż, *Polski Kosmos. 10 esejów przy Gombrowiczu*, Wrocław 1996, s. 119; M. Tomaszewski, *Od kosmosu do chaosu. Nietzsche a Gombrowicz*, w: tegoż, *Od chaosu do kosmosu. Szkice o literaturze polskiej i francuskiej XX wieku*, Warszawa 1998, s. 35–43; B. Pawłowska-Jądrzyk, *Pochwała niedorzeczności*, w: tejże, *Sens i chaos w grotesce literackiej*, Kraków 2002, s. 142–167; M.P. Markowski, *Czarny nurt. Gombrowicz, świat, literatura*, Kraków 2004, s. 150–155.

Jednak kwestia sprowadza się nie tylko do sfunkcjonalizowanej i ustacyznionej opozycji między rejestrami tego, co symboliczne (porządki rozumowe, słowa, mapy, schematy) a chaosem nadmiarowej, bełkoczącej materii. Wszystkie eksplanacje Witolda i Fuksa to porządki słabe, reprezentujące „myśl wątlą”<sup>3</sup>. Książkę Gombrowicza, to teza wstępna mojego artykułu, spina pewna gradacja. Wskazówka pojawia się już na 38. stronie powieści. Doświadczenie skandalicznej obecności ptaka i patyka ukrytych w gąszczu (jedno z wielu zestawień opartych na figurze *parechesis* sugerującej związek między rzeczami, przedmiotami, stosunki manifestujące się także w tkance językowej, której giętkość, wrażliwość odpowiada aktywności cechującej domenę referencji<sup>4</sup>) jest skomentowane następującymi słowami: „ta niesamowitość torowała drogę innej niesamowitości”<sup>5</sup>. Uobecniona niesamowitość daje możliwość doświadczenia „innej niesamowitości”. Doświadczenia tego, co niesamowite nie dla-człowieka, ale odległego, niemożliwego horyzontu czegoś, co stanowi niesamowitość dla tego pierwszego niesamowitego. Nie wiadomo, czy to coś bardziej niesamowite, na pewno inaczej niesamowite. Wraz z Witoldem ustawieni jesteśmy na drodze, na której może się zmanifestować niesamowitość niesamowitości.

Działania bohaterów, którym wydaje się, że będą doświadczać tylko niesamowitości (tej pierwszej), a nie przeczuwają nawet, że konsekwencje naktnięcia się na powieszonym w krzakach wróbla są daleko większe, te działania opisane zostały z wykorzystaniem metaforyki lumenalnej odsyłającej do metafizyki światła i ciemności: „Och, działanie wyjaśniające! I, och, działanie zaciemniające, w noc, w chimere wprowadzające!”<sup>6</sup> Sam Witold mówi w pewnym momencie: „Przecie, na Boga, wróbel i patyk nie przestały być zagadką dlatego, że ja kota powiesiłem! I wisiały one tam, na krańcach, jak dwa

<sup>3</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, Kraków 1988, s. 36. Z kolei powieszony na drucie wróbel spełnia warunki jednej z modalności tego, co Freud określił mianem *das Unheimliche*, niesamowitego – w tym przypadku tchnącej grozą, złowieszczej obecności nieludzkiej „realności materialnej” (S. Freud, *Niesamowite*, w: tegoż, *Pisma psychologiczne*, przeł. R. Reszke, Warszawa 1997, s. 258). Zob. też M.P. Markowski, *Czarny nurt*, s. 149–153.

<sup>4</sup> Wybrane inne przykłady: „wytryski” – „wypryski słowne” (s. 37); „wymarzasz” – „wysmarzasz” (s. 39); „mrok” – „wzrok” (s. 50); „wielość rozmaitych czerni, zacierających” (s. 50–51); „podchodziłem” – „odchodziłem” (s. 75); „wyniosłość wzniosła” (s. 80); „wycieczka-ucieczka” (s. 92); „góry” – „córy” (s. 104); „korny” – „karny akolita” (s. 134).

<sup>5</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 38. Można, oczywiście, rozumieć te słowa jako swego rodzaju enumerację (zaimek wskazujący „ta” byłby synonimem liczebnika „jedna”) – jedna niesamowitość torowałaby wówczas drogę następnej niesamowitości. Dostrzegam jednak rozróżnienie między wskazywaną, lokalizowaną „tą niesamowitością” a odróżnianą od niej, zrazu zaledwie przeczuwaną „inną niesamowitością” – niesamowitością dla tego, co niesamowite.

<sup>6</sup> Tamże, s. 45.

ośrodki ciemności!”<sup>7</sup>. Spośród tych dwóch aktywności poznawczych bardziej interesuje mnie działanie zaciemniające – wprowadzające w noc, w chimere, to znaczy otwierające pole manifestacji temu, co hybrydyczne, groteskowe, nieludzkie i niezwykłe. Działanie prowadzące wprost do jądra ciemności.

Sposób ujęcia przez Witolda wybuchów dzikiej faktyczności, chaosu nagej materii wskazuje, że można by o nich mówić, odnosząc się do innej mechaniki aniżeli badająca właściwości ciał stałych. W powieści mowa jest o płynności, o hyletycznej niestabilności, o potokach materii. Gombrowicz operuje metaforą akwaticzną zestawianą z metaforą lumenalną<sup>8</sup>. Być może należałoby zatem mówić o mechanice płynów. Ta daje bowiem narzędzia pozwalające opisać różne stadia gęstości, lepkości i masy płynów, ich równowagę oraz ruch, także działanie płynów na ściany ograniczające i na zanurzone w nich ciała<sup>9</sup>. W powieści „ośrodki ciemności”, punkty materialnej eksplozji są umieszczane w roślinnej gęstwinie, co więcej, są opisywane z wykorzystaniem figury gąszczu. Są one mniej lub bardziej gęste, a nade wszystko to noc sama – która zdominuje scenię „rozdziół górskich” – stopniowo gęstnieje. Materia opisywana w *Kosmosie*, jakkolwiek zapewne twarda, nie sytuuje się w fazie stałego stanu skupienia, nie jest zestalona w skorupę, w kamień. Gdy bohaterowie idą po raz kolejny zobaczyć, co z powieszonym wróblem, pojawia się następujący opis: „wzrok daremnie tłuł się o czern, raczej o wielość rozmaitych czerni, zacierających – były tam czarne jamy, zapadające się obok innych dziur, sfer, warstw, zatrutych półstnieniem i to zlewało się w rodzaj mikstury hamującej, odpornej”<sup>10</sup>. Gęstość i płynność to metafizyczne charakterystyki wielu różnych czerni. Czern zaś – warunek zraty wszelkiej widzialności – to z kolei jedna z możliwych reprezentacji tej innej niesamowitości dla niesamowitego.

<sup>7</sup> Tamże, s. 69.

<sup>8</sup> Przykłady metaforiki akwaticznej: „napierająca fala rzeczy i rzeczy” (s. 82); „rozległość [...] była wprost roztopiająca, rzeka olbrzymia, zalew, powódź, wody niezmierzone” (s. 82–83); „burza rycząca materii” (s. 86); „balkon nadpływający” (s. 87); „[z]atopienie, zapatrzenie, zasłuchanie” (s. 117); „niebo wsiąkało w nic” (s. 125); „zlewały się rozgałęzienia” (s. 126); „niżej ciemniejsza o wiele fontanna gór skamieniałych w wytryskiwaniu. [...] wszystko utopione na samym dnie księżycowej poświaty” (s. 135); „podziemna logika roztopiała się w nikłości” (s. 140). Na temat gnozeologicznych i metafizycznych aspektów obu metafor zob.: L. Wróbel, *Hylé i noesis*, Toruń 2013, s. 23–95; L. Wróbel, „nieznanej rzeki srebrne pluski”. *Modernistyczne konceptualizacje strumienia prymarnej materialności*, „Białostockie Studia Literaturoznawcze” 2013, nr 4, s. 127–140.

<sup>9</sup> Mechaniką płynów rządzą te same prawa, co mechaniką ciał stałych, ale specyfiką płynów jest ich niezdolność do utrzymania kształtu (K. Jeżowiecka-Kabsch, H. Szewczyk, *Mechanika płynów*, Wrocław 2001, s. 13).

<sup>10</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 50–51.

Gra światła i ciemności to jeden z warunków widzialności. To także podstawowy figuralny czynnik doświadczenia fenomenologicznego, którego aspekty dostrzegalne są już na samym początku wycieczki w góry:

jedziemy. [...] Drzewo. Zbliża się, mija, przepada. Płot i dom. Pólko czymś zasadzone. Pochyłe łąki i krągłe wzgórki. [...] Samochód mija, rozpędzony. [...] w ogóle nic nie było ważne w powolnym znikaniu jakim jest jazda, byłem pochłonięty, ale czymś innym, to coś nie miało ciała, było stosunkiem szybkości z jaką przewijały się przedmioty bliższe do powolniejszego przesuwania się przedmiotów dalszych, a także tych bardzo dalekich, prawie stojących w miejscu – to mnie pochłaniało. Myślałem, że w czasie jazdy rzeczy ukazują się tylko, żeby zniknąć, rzeczy są nieważne, a też nieważny krajobraz, jedyne co pozostaje, to ukazywanie się i przepadanie. Drzewo. Pole. Nowe drzewo. Mija<sup>11</sup>.

Fenomenologia podróży, której oddaje się Witold, wydobywa fakt, że podróżowanie niekoniecznie musi być ujmowane jako ruch w przestrzeni. Podróż nie jest też po prostu spotkaniem – z innym, z innością (w kimś, ale i w sobie samym). Jazda, podróż to w pierwszej kolejności znikanie znanego, widzianego, rozpoznawalnego przynajmniej morfologicznie (kształty, rozmiary). To przepadanie tego, co widzialne, obrazów, fenomenów. Podróż nie jest w tym wydaniu wnikaniem w fakturę przyrody, nawet nie syce niem się krajobrazem, ale pojawianiem się rozmaitych przedmiotów (oznaczanych rzeczownikami) oraz stanów i procesów (oznaczanych czasownikami i imiesłowami) w polu obserwacji<sup>12</sup>. Odnotowaniu tego służą m.in. gramatyczny czas terażniejszy (odróżniony od gramatycznego czasu przeszłego samej opowieści) oraz interpunkcja z enumeracją punktujące kodami (jak kropka) poszczególne przedmioty, czy też raczej ich obrazy. Witold jest w tej scenie bardzo szczególnym typem fenomenologa. Zamiast docierać do rdzenia, istoty, czyli tego, co powinien badać następca Husserla<sup>13</sup>, poprzestaje na zewnętrznych krawędziach zjawisk, punktach ich krzyżowania się

<sup>11</sup> Tamże, s. 82. Tu i w pozostałych cytatach zachowuję pisownię zgodną z edycją, z której korzystam.

<sup>12</sup> Wcześniej Witold mówił w odniesieniu do budzącej go Katasi: „Mnie trudno było coś zobaczyć, przyglądanie się osobom natrafia na znaczne przeszkody, to nie jak z martwymi przedmiotami, tylko na przedmioty można naprawdę patrzeć”, i konkludował kilka stron dalej: „Patrzyłem też na stół, na obrus, trzeba przyznać, że możliwości widzenia są ograniczone” (tamże, s. 25, 35).

<sup>13</sup> „Analiza istotowa *eo ipso* jest analizą ogólną, poznanie istotowe kieruje się ku istotom, esencjom, ku przedmiotom ogólnym” (E. Husserl, *Wykład trzeci*, w: tegoż, *Idea fenomenologii*, przeł. J. Sidorek, Warszawa 2008, s. 69).

z innymi wyglądami. Jest anarchiczny w swojej działalności, pozostaje w zwłóce wobec możliwości sensu, koncentruje się zaledwie na materialnym parawanie naocznych danych. Chwyta tylko naskórki wyglądom, ich fasady, glazurę materialności.

Obietnicę takiego – fenomenologicznego z ducha – doświadczenia turystycznego złożył jakiś czas wcześniej Leon Wojtys: „ja wam wysupłam z górskiej panoramy gędzbę nad gędzbami, garść, mówię widoków first klas prima [...]. Zjawiskowość, rzekłbym, w połączeniu z girlandą natury, marzycielskość trawusi, kwiatusi, drzewusi”<sup>14</sup>. Jakkolwiek w słowach Leona nie tylko precesja widzialności mnie interesuje. Nade wszystko składa on bowiem obietnicę „wysupłania” kompozycji złożonej z obrazów („widoki”) i dźwięków („gędzba”<sup>15</sup>).

Tak oto cała wycieczka w góry okazuje się w pierwszej kolejności wycieczką w widzialność, w zjawiskowość, w obrazy pojawiające się i znikające. Podróż nie jest tutaj jedynie ruchem w przestrzeni, ruchem do góry, daleko, gdzieś indziej. Rilke w jednym z wierszy pisał:

W czym był ten rozpęd? Czyżby w zawróceniu  
nagłym powozu? Może w samym oku,  
w które się światki polne (styl baroku)  
co pośród modrych dzwonek stały w zamyśleniu  
brało, trzymało, by je gubić znów<sup>16</sup>.

Tak i Gombrowicz odnotowuje wyłanianie się oraz zatrącenie obrazów trzymany przez chwilę na siatkówce oka. Ich gromadzenie na ekranie uwagi i następujący po tym przepadek. Obrazów działających rzeczy, performatywnej materialności, ale i samych obrazów jako czynników obdarzonych aktywnością. Witold próbuje sobie poradzić z tym doświadczeniem za pomocą powtórzeń, enumeracji, spójników („napierająca fala rzeczy i rzeczy, widoków i widoków”<sup>17</sup>), poliptotonów (bok / boczny / uboczny / zbocza / uboczność<sup>18</sup>), aliteracji („jedziemy, jedziemy, jazda, dobrze, jedno jasne”<sup>19</sup>). Taką stylistyką próbuje uchwycić fenomenalność nagiej materii. Także uczestnicy wycieczki opisywani są przezeń zaledwie podług niestabilnych danych

<sup>14</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 79–80.

<sup>15</sup> Por. A. Brückner, *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Warszawa 1985, s. 139–140, hasło: gęśl.

<sup>16</sup> R.M. Rilke, *Dojazd*, w: tegoż, *Poezje*, wyb., przeł. A. Sandauer, Warszawa 1987, s. 186.

<sup>17</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 82, 85.

<sup>18</sup> Tamże, s. 89–90.

<sup>19</sup> Tamże, s. 90.

naocznych, jak gdyby poza antropomorficzną fasadą nie kryła się w nich żadna istota, żaden rdzeń. To znaczy, jak gdyby w ogóle pozbawieni byli istoty i funkcjonowali w sposób zaledwie zmysłowy, a więc materialny. Ludzie na wycieczce w górach to materia pośród materii. Pozbawiona istotowej tożsamości, rejestrowana tylko w porządku doświadczenia zmysłowego. Nieistotność równa się w tym kontekście fenomenalności, to znaczy materialności. Jesteśmy wyłączeni w porządku wygładów. W materii.

Zanurzając się w warstwy tatrzańskie widzialności, Witold mówi: „W ogóle nie znałem większości nazw, co najmniej połowa rzeczy oglądanych była nie nazwana, góry, drzewa, chwasty, warzywa, narzędzia, osiedla. Byliśmy na wyżynie”<sup>20</sup>. Doświadczenie stopniowego tracenia leksyki powraca jakiś czas później podczas rozmowy z Leonem: „Zapytałem, czy zna nazwy gór, nie, nie znał, zapytałem, jak się nazywa dolina, odburknął, że wiedział, ale zapomniał. – Co pan z górami? Z nazwami. Nie o nazwę chodzi”<sup>21</sup>. Nie jest jedynie przypadkiem afazji<sup>22</sup> to cofanie się przed ramy słownika, przed świat znany, bo nazwany. Jeżeli nie o nazwy chodzi, zapewne chodzi o rzeczy widziane, imiesłowowo „ogładane”. Tautologicznie rzecz ujmując, z takiego punktu widzenia, podczas wycieczki w góry najważniejsze staje się doświadczenie widzenia. Chodzi o obrazy, nie nazwy. Widzialność, nie komunikatywność (innymi słowy – zmysłowe wyglądy, materialny aspekt postrzegania). Jakkolwiek, podkreślmy to już teraz, podczas tej konkretnej podróży dojdzie do utraty nie tylko słów, ale także światła, a wraz z nim obrazów i w ogóle widzialności.

Teza, którą stawiam, brzmi następująco: wycieczka w góry jest u Gombrowicza tak naprawdę podróżą pod ziemię. Wycieczka w zjawiska, obrazy, widoki skończy się nie na otwartej przestrzeni hal i turni, ale pod zwalami materii. I bez jakiegokolwiek widzialności. Co więcej, jadący na wycieczkę żywi ludzie skończą w grobie.

Dopóki bohaterowie byli w podzakopiańskim domu, rzeczy cechowały się performatywnością. Grały nimi w piłkę<sup>23</sup>. Materia była aktywna, coś robiła z zanurzonym w niej człowiekiem. Chaos faktyczności był biegunem

<sup>20</sup> Tamże, s. 84.

<sup>21</sup> Tamże, s. 104.

<sup>22</sup> Jakkolwiek Leon Wojtys jest, jak się zdaje, afatykiem zawołanym, który nieustannie „dziwoliży się ze słowotworem” (tamże, s. 21). Zob. R. Jakobson, *Dwa aspekty języka i dwa typy zakłóceń afatycznych*, przeł. L. Zawadowski, w: tegoż, *W poszukiwaniu istoty języka*, wyb., red. M.R. Mayenowa, Warszawa 1989, t. 1, s. 150–175.

<sup>23</sup> „świat był doprawdy rodzajem parawanu i nie udzielał się inaczej jak tylko przekazując mnie wciąż dalej – rzeczy bawiły się mną w piłkę!” (W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 47). Znaczący jest brak przyimka „z”. Rzeczy nie grają „z” Witoldem w piłkę, grają nim.

aktywnym, determinującym rejestr symboliczny, tzn.: słowa, konstelacje stosunków, mapy – podważał je, obalał, ale zarazem umożliwiał (do obu tych aspektów odsyła szczególne funkcjonowanie przyimków, zaimków oraz spójników). I aktywność ta była skierowana ku światu ludzkiemu. W ten sposób pierwsza część powieści Gombrowicza operuje dwoma biegunami metafizycznej i ontologicznej aktywności: 1. „tamtą stroną” materii<sup>24</sup>, faktyczności nadmiarowej, napęczniałej dysruptywną mocą, energią (obdarzonej więc własną, immanentną zasadą ruchu); 2. biegunem aktywnej, acz słabej, zmęczzonej, chorej istoty ludzkiej (stopniowo tracącej dostęp do rezerwuaru wewnętrznej zasady ruchu)<sup>25</sup>. W górach natomiast bohaterowie doświadczają już nie performatywności materii, ale „doskonałej obojętności rzeczy”, postępującego z każdą chwilą „zobojętnienia, zagęstnienia i opuszczenia, coś jak przekręcenie klucza w zamku”. Witold mówi: „kotlina była [...] wypełniona niemocą, [...] rzeczy nie chciały się udzielać, wlażyły do nory, zanik, rozpad, koniec”<sup>26</sup>. Bardziej, aniżeli napierający obecnością wróbel, nastrożająca się czerń roślinnej gęstwiny, materialność upału i rzeczy grających ludźmi w piłkę, zaczyna oto doskwierać „doskonała obojętność rzeczy”. Jak się okazuje, gorszy od relacji z czymś, choćby i niesamowitym, jest odczuwany brak relacji. W pierwszej części książki Gombrowicz po pierwsze odrzucił tradycyjny dualizm podmiotowo-przedmiotowy i usytuował człowieka pośród, a także wobec materialnych rzeczy – w ich nastrożającej się obecności. Po drugie temu hyletycznemu biegunowi przypisał aktywność. W okolicach domu rzeczy faktycznie grały Witoldem w piłkę, w ogóle grały z ludźmi w kulki, wodziły za nosy, drażniły. W górach nagle stają się obojętne. Przestają być performatywne, nie wiadomo, czy nie są martwe<sup>27</sup> – to inna odsłona materialnego wymiaru świata. I jest to doświadczenie dojmujące.

Gdzie dokładnie podczas górskiej wycieczki znajdują się opisane przez Gombrowicza postacie? Z jakich komponentów zbudowany jest ich świat?

Zmierzcha, dzień ma się ku końcowi. Witold mówi:

<sup>24</sup> Tamże, s. 22, 62–63, 70.

<sup>25</sup> Por. np.: „byłem zmęczony [...] śpiak w oczach niewyspanych”; „nalegał dość słabo, ale ja też byłem słaby i w ogóle słabość przenikała wszystko”; „byłem zmęczony i zniechęcony” (tamże, s. 5, 26, 70).

<sup>26</sup> Tamże. s. 117, 119, 123. Już wcześniej Witold doświadcza niemrawości i obojętności przedmiotów, zob. s. 67.

<sup>27</sup> Dużo wcześniej słowa Witolda: „rzeczy – niemrawe, jakby wyzionęły ostatnie tchnienie. I obojętne” (tamże, s. 67).

Przyłączyłem się i szedłem z nimi wprost na słońce, którego jednak nie było – pozostawiło ono za sobą tylko wielkie słoneczne nic, rodzaj słonecznej próżni, zaznaczającej się natężeniem blasku bijącego zza góry, jak z ukrytego źródła – rozpalając niebo liliowe, wewnątrz promienne, już nie udzielające się ziemi<sup>28</sup>.

Skąpane w wielkim słonecznym nic góry, pagórki, drzewa, kamienie są „pod znakiem końca”<sup>29</sup>. To nie słońce zachodzi, to świat zmierzcha. Co więcej, i ludzka społeczność, zdawałoby się wzmocniona więzami trzech par w miesiacu miodowym oraz obecnością księdza, zostaje rozwiązana: „nikt nie szedł z nikim, każdy osobno [...] rozproszeni. Pomyślałem, że ich za dużo”<sup>30</sup>. Dochodzi nie tylko do zatraty relacji na linii świat – człowiek, materia – jednostka, ale i (stopniowo) stosunków między poszczególnymi osobami. Oto upadek wspólnoty, rodziny, nawet obecność kapłana nie wiąże, nie umożliwia żadnej *religio*. Rozproszenie ogarnia wszystko i wszystkich. A w rozproszeniu każdy jest nadmiarowy.

Zatem powyżej znajduje się wielkie słoneczne nic, świat poniżej jest pod znakiem końca. Co więcej, góry opisane zostały przez Witolda następująco: „Na łące, okrążonej górami wprowadzającymi się niemo w opuszczenie i pozostawienie, ładującymi wielkie złoża niewidzenia, gniazda niebytu, twierdze ślepoty i niemoty”<sup>31</sup>. Połączenie obrazu i dźwięku to warunek znaku językowego<sup>32</sup>, to początek języka. Obietnicę wysupłania takiej kompozycji złożył wcześniej Leon, ale szybko bohaterowie zaczęli tracić leksykę, wypadając poza ustabilizowany świat nazw. Teraz to góry okazują się z kolei pozbawione możliwości komunikowania (niemota) i widzenia (ślepotą), wypadają poza horyzont jakiegokolwiek hermeneutyki. Naga materialność Tatr nie przemawia żadnym głosem<sup>33</sup>. Witold doświadcza „ciszy śmiertelnej

<sup>28</sup> Tamże, s. 119.

<sup>29</sup> Tamże. A przecież słońca wcześniej, zanim zaczęła się wycieczka, było w nadmiarze, przypiekającego, upalnego, błyszczącego.

<sup>30</sup> Tamże.

<sup>31</sup> Tamże, s. 122.

<sup>32</sup> Mam tu na myśli relacje zachodzące między meritum treści (ujmowanym jako psychologicznie dostępne znaczenie), formą treści (zorganizowanym układem psychicznych obrazów rzeczywistości, tj. reprezentacji mentalnych zależnych od części mowy), substancją treści (myśl w jej odsłonach emocjonalnych, pojęciowych) oraz substancją wyrażania (ciągi dźwięków opisywane przez fonetykę) i formą wyrażania (relewantne cechy fonologiczne, reguły paradygmatyczne) (L. Hjelmslev, *Prolegomena do teorii języka*, przeł. H. Kurkowa, A. Weinsberg, w: *Językoznawstwo strukturalne. Wybór tekstów*, red. H. Kurkowa, A. Weinsberg, Warszawa 1970, s. 75–84).

<sup>33</sup> Wcześniej, przed rozpoczęciem wycieczki, Witold skrupulatnie odnotowywał: „bełkot rodzącej się chwili”, „parcie ku sensowi”; „wielki rozhovor zdarzeń” (W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 24, 30, 40).



łona gór”<sup>34</sup>. Oto świat okazuje się ślepy, przestaje nawet bełkotać do człowieka. I wprowadza go w gniazda niebytu.

Świat ludzki sytuuje się w obrębie zamkniętego obiegu podmiotowo-przedmiotowego. W pierwszej części powieści bohaterowie natykali się na nieoczekiwane kłuzy, szczeliny w tak rozumianym, antropocentrycznym monolicie, nieustannie potykali się o aktywne rzeczy, nie przedmioty, ale właśnie rzeczy. Teraz w jakiejś mierze dochodzi do zapaści nawet tej domeny chaotycznej, bełkoczącej faktyczności. To rewers świata ludzi oraz przedmiotów, i ta rewersowość potęguje się. „Dom przed nami wydawał się już nieźle nadgryziony zmierzchem”<sup>35</sup>, mówi Witold. Zmierzch jest tutaj kategorią nie tylko czasową, ale nade wszystko ontologiczną, czy może raczej metafizyczną. Czytam dalej to samo zdanie: „nadgryziony zmierzchem, w samej materii swojej, nadwątlonej... i kotlina była jak kielich fałszywy, bukiet trujący, wypełniona niemocą”<sup>36</sup>. Materia, rzeczy, faktyczność pozostają obojętne, i nie tylko ludzie są słabi, zmęczeni. Dotyczy to całego świata górskiego. Jest on dotknięty ślepotą, niemotą i niemocą. Rzeczy nie chcą się nastęzczać, narzucać. Włazą do nory, zanikają, rozpadają się. To już ich koniec. „choć jeszcze było dość widno”<sup>37</sup> – zaznacza narrator, odnotowując stopniowe narastanie ciemności, gradację metafizycznego zaniku. Świat coraz bardziej obojętnieje. I powoli upadają w nim możliwości oraz zdolności poznawcze człowieka – ta sama strona powieści: „dawało się we znaki zjadliwe rozprężenie samego widzenia. [...] w niewidzeniu można zbliżyć się, podejść, dotknąć, ująć, objąć [...], ale cóż, nie chciało mi się, nic mi się nie chciało, ja miałem egzemę, byłem chory, nic, nic”<sup>38</sup>. Degradacji ulegają zdolności poznawcze degradujących się istot ludzkich w zdegradowanym świecie. Trujące wyziewy niemocy zarażają wszystko wokół brakiem jakiegokolwiek potencji. Konsekwencją jest powszechna utrata dźwięku i obrazu, nazw i znaków, języka – epistemiczna oraz metafizyczna ślepota i niemota, absolutna niemożność.

Spinająca powieść gradacja rysuje się następująco: bohaterowie stopniowo wypadają poza relację podmiot – przedmiot, przed jej obowiązywalność, przed sferę przedmiotów<sup>39</sup>, a nawet – jak się zaraz okaże – przed

<sup>34</sup> Tamże, s. 95.

<sup>35</sup> Tamże, s. 123.

<sup>36</sup> Tamże.

<sup>37</sup> Tamże. Witold już od jakiegoś czasu odnotowuje oznaki zubożenia i zaniku. Niedługo wcześniej mówił: „Rozejrzałem się, wszystko tu na dole uległo zmianie, choć jeszcze było jasno – ale pojawił się początek zubożenia, zagęstnienia i opuszczenia” (tamże, s. 119).

<sup>38</sup> Tamże, s. 123.

<sup>39</sup> Witold, kontemplując aż po samozatrąę sufit w pokoju w pensjonacie, mówi: „jakbym jakiś

sferę rzeczy (przyimek „przed” pełni w moim zdaniu jednocześnie funkcję okolicznika czasu i przestrzeni.) A cały czas nieubłaganie potężnieje, narwarstwa się jakieś wielkie nicościowe i nicościujące zewnątrz. Wszystko zmierzcha, zanika. Wreszcie Witold mówi: „niebo wsiąkało w nic [...] narastał gąszcz”<sup>40</sup>. Nic i ciemność mają przypisane analogiczne atrybuty, co „ośrodki gęstości” z pierwszej części książki („nic” i „noc” to kolejna, jakkolwiek niedopowiedziana przez Witolda, figura *parechesis* o semantyce odsyłającej do metafizyki i ontologii świata przedstawionego). „...narastał gąszcz, i myślałem, że gąszcz toczy się nieprzerwanie”<sup>41</sup> – odnotowuje Witold to, co dzieje się w górach.

Bohaterowie w domu nadgryzionym zmierzchem siadają do posiłku:

Kulka wniosła dwie latarnie naftowe [...] rozpały się lepiej i wtedy blaski ukosne wywołały zognienienie cielesności naszej wokół stołu, ufantastycznienie [...] był to gąszcz [...]. Lamy wywołały też zagęszczenie ciemności na dworze i jej zdziczenie<sup>42</sup>.

Co dzieje się z ludźmi skąpanymi w blasku latarni i gęstniejącej, zdziczałej ciemności? Znikoma ilość światła sprawia, że otaczającego mroku jest więcej. Zmurszałe stają się okowy kształtów i zaczyna przelewać się przez nie trzymana wcześniej w ryzach materialność. Powraca w tym fragmencie figura chimery, którą na początku charakteryzowane było „działanie zaciemniająca” (w noc i chimere wprowadzające):

blask wydobywał ostro na wierzch wycinki twarzy i torsów, reszta była zatracona, tłok się wzmógł od tego i ciasnota, był to gąszcz, tak, gęsto i jeszcze gęściej, w rozprzestrzenieniu i spotężnieniu rąk, rękawów, szyj, sięgano po mięso, nalewano wódki i zarysowała się możliwość fantasmagorii z hipopotamami. Z mastodontami [...] w fantastyczności, łączyły się głowy, zlewały się rozgałęzienia ścienne wyciągniętych do półmiska rąk<sup>43</sup>.

---

próg przekraczał – i już po trosze byłem «po tamtej stronie», a po jakimś czasie uzmysławia sobie: „nie jestem już z nimi, a przeciw nim, po *tamtej* stronie. Jak gdyby kot przesunął mnie z jednej strony medalu na drugą, w tamtą strefę, gdzie działy się tajemnice” (tamże, s. 22, 62).

<sup>40</sup> Tamże, s. 125, 128.

<sup>41</sup> Tamże, s. 128.

<sup>42</sup> Tamże, s. 126.

<sup>43</sup> Tamże. Witold już wcześniej mówił o „olbrzymich mastodontach świata rzeczy” wypełniających przestrzeń swoją nadmiarowością, niestabilnych morfologicznie, rozpadających się na kawałki (tamże, s. 29, 86). Zob. też: M. Okłot, „Możliwość fantasmagorii z hipopotamami”, czyli obraz materii u Gombrowicza, w: *Witold Gombrowicz nasz współczesny*, red. J. Jarzębski, Kraków 2010, s. 392–406.

Oto wielkie poszatkowanie ciał – poetyka metonimii i anamorfozy wykoślawia ludzi tkwiących w środku gąszczu. Są hybrydyczni, groteskowi, nie-ludzcy i niezwierycy. Ani tacy, ani tacy, i tacy, i tacy po trosze. Zaraz po tym, gdy świat przestał kierować swą aktywność ku ludziom, zaczęli rozpadać się – najpierw jako społeczeństwo, wspólnota, potem już nawet jako jednostki. Formy osobowe czasowników są w tym fragmencie sukcesywnie wypierane przez formy nieosobowe (sięgano, nalewano, nakładano), czasowniki w ogóle oddają pola rzeczownikom odczasownikowym i odprzymiotnikowym (zogromnienie, ufantastycznienie, rozprzestrzenienie, zagęszczenie, zdziczenie). Wcześniej utracone zostały przedmioty, teraz rozpadają się i podmioty, i ludzie. Przystają obowiązywać systemy miar, arytmetyka, zoologia, antropologia. A zaciemnienie oraz gąszcz postępują. Potężniejący na zewnątrz domu mrok rozmywa kontury, rozpuszcza formy, uwalnia materię spod prymatu jednostkowości, reżimu kształtu (spod Arystotelesowskiej ontologii kategorii<sup>44</sup>). Ciemność i gąszcz negują możliwość arytmetycznej selekcji, wyliczenia, tj. rozróżniania bytów (światło, wszak, to jeden z warunków policzalności). Nie ma żadnych uchwytnych punktów orientacyjnych, jakichkolwiek współrzędnych – ani w świecie przedmiotowym, ani w świecie podmiotowym. „Trudno będzie opowiedzieć dalszy ciąg tej mojej historii” – tak rozpoczyna Witold ostatni, dziewiąty rozdział opowieści – „Trudno nazwać historią takie ciągle... skupianie się i rozpadanie... elementów...”<sup>45</sup> Spójność diegetyczna oraz dykcja Witolda także rozpadają się. Warto zwrócić uwagę na wyzyskaną w tym fragmencie semantykę wielokropka jako znaku niezupełności, sygnującego brak domkniętej całości<sup>46</sup>.

Wreszcie Witold, wyszedłszy na ganek, dostrzega wymiotującego księdza. Jest ciemno. Narrator mówi: „noc była zatruta księżycem, który płynął przez nią umarły”<sup>47</sup>. Wokół ludzi zwieszają się gniazda niebytu ślepych i niemych gór skąpanych w zimnym świetle umarłego księżyca.

Rozejrzałem się... Widowisko! Góry wyrzucające się martwo w tafłę nieba, powleczoną w sporej części centaurami, łabędziami, statkami, lwami o grzywach świetlistych [...] och, glob umarły, jaśniejący światłem pożyczonym – a to jaśnienie wtórne, osłabione, nocne, kaziło i zatrzymało jak choroba<sup>48</sup>.

<sup>44</sup> Arystoteles, *Metafizyka*, przeł. K. Leśniak, Warszawa 1984, Ks. K (XI), 1068 a, s. 297; Arystoteles, *Fizyka*, przeł. K. Leśniak, Warszawa 1968, Ks. V, 225 b, s. 154.

<sup>45</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 136.

<sup>46</sup> I. Angelowa, *Charakterystyka interpunkcji polskiej w świetle normy i praktyki*, Wrocław 1985, s. 50. Por. D. Sulej, „*Kosmos*” jako gabinet luster. *Psychomachia Witolda Gombrowicza*, Kraków 2015, s. 47.

<sup>47</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 137.

<sup>48</sup> Tamże, s. 140–141.

Ślepe i nieme góry dostrzegalne są w słabym świetle umarłego księżycy i pod niebem powleczonym chimerami, fantasmagorią: tą samą, co w przypadku działania zaciemniającego, które wprowadzało w noc, tę samą, co w przypadku lamp naftowych. To jest analogiczne wykoślawienie. Góry wyrzucają się martwo w taflę nieba. Tafla – niebo nie jest otwartą przestrzenią kosmiczną, przestworem, otchłanią wirujących ciał niebieskich; jest płaskie, nieprzenikliwe. Wyraz „kosmos” odzyskuje jedno ze swoich etymologicznych znaczeń: „ornament”, li tylko „dekoracja”<sup>49</sup>. Księżyc jaśniej pożyczonem światłem, ale to światło pożyczone od nicości, w którą wniknęło słońce, i zatruwa ono jak choroba. Oto perspektywa kosmiczna: słońce wnikające w nic, martwe góry, umarły glob, umarły księżyc, zdehumanizowani, zdekomponowani i pofragmentowani ludzie. Wszyscy i wszystko jest spowite śmiercią wydarzoną i wydarzającą się. A nad wszystkim dominują gęstniejące zwały gór. Ale w tych górach najwyraźniej nie ma otwartej przestrzeni, nie sposób nabawić się tutaj agorafobii. Tu jest ciasno, klaustrofobicznie. Tutaj stoi się na trupie ziemi pod zwałiskiem martwych kamieni, które są umieszczone pod taflą martwego nieba z umarłym księżycem pożyczającym światło od nic, które kiedyś było słońcem.

Tak zaczyna obowiązywać anonsowana przez Witolda „logika podziemna” zastępująca „logikę normalną”, podług zasad której bohaterowie postępowali jeszcze w pierwszej części powieści. Logika normalna to ostrogi reguł niesprzeczności, tożsamości i wyłączonego środka, a także klarowna dystynkcja prawda – fałsz. Jeszcze prowadząc śledztwo w podzakopiańskim domu i wokół niego, wierzyli w nią Witold i Fuks: „Strzałka, albo i nie strzałka”, mówił pierwszy, „*Fifty, fifty*. Tak, lub nie”<sup>50</sup> – dodawał drugi. Teraz panuje logika podziemna, „ciężka i prywatna” (a ciężar, pamiętajmy, zmierza ku gęstości), podszyta nie jasnymi wartościami, ale śmiercią, martwością: „Trup idiotyczny stawał się trupem logicznym”<sup>51</sup>, mówi Witold. Logika podziemna to nie system sądów, którego zewnętrzną granicą jest sprzeczność, a wewnątrz panuje tautologia<sup>52</sup>, system dający możliwość indukcyjnych wnioskowań i dedukcyjnych uogólnień. Teraz jesteśmy daleko za horyzontem

<sup>49</sup> Isidore of Seville, *The cosmos and its parts (De mundo et partibus)*, w: tegoż, *The Etymologies*, przeł. S.A. Barney, W.J. Lewis, J.A. Beach, O. Berghof, Cambridge 2006, s. 271. Por. J. Olejniczak, *W kosmosie „Kosmosu”*. «Opowiem (wam) przygodę...» Witold Gombrowicz, w: *Witold Gombrowicz nasz współczesny*, s. 377.

<sup>50</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 23, 26.

<sup>51</sup> Tamże, s. 139.

<sup>52</sup> Por. np. L. Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*, przeł. B. Wolniewicz, Warszawa 1997, teza 5.143, s. 44; teza 6.113, s. 67; teza 6.12, s. 67–68.

sprzeczności jako granicą logiki. O ile tam (logika normalna) mieliśmy relacje między sędami logicznymi, o tyle tutaj (logika podziemna) sytuujemy się po prostu w nagiej, nieludzkiej i niezwierzęcej, metamorficznej materialności. Domena chaosu faktyczności, niestabilnych rzeczy, to właśnie rewers światła logicznych uogólnień. A umysł jest bezsilny „wobec rzeczywistości przerastającej, zatracającej, spowijającej... Nie ma kombinacji niemożliwej... Każda kombinacja jest możliwa...”<sup>53</sup>. Tu trzeba myśleć nie tylko poza tautologiami, ale także poza sprzecznością (wszak nie obowiązują już zworniki Arystotelesowskiej ontologii kategorii). Stąd erupcja groteskowości: chimery, hybrydy – nie ludzkie, nie zwierzęce, nie ludzko-zwierzęce. Żadna kategoria tu nie obowiązuje, skoro doszło do zatraty wszelkiej tożsamości i panuje powszechna stochastyczna potencjalność, ontologiczna nieoznaczoność. Relacja obiektywne – subiektywne wpisywała się w wartościowanie wedle sylogistycznych algorytmów. Teraz jesteśmy poza obiektywnością, ale i poza subiektywnością, skoro podmiotowość uległa zatraceniu, a antropomorficzność właśnie się rozpada, rozplywa, degradowuje<sup>54</sup>.

„Nic mi nie pozostawało prócz myślenia”<sup>55</sup> – wyznaje Witold. Podwójne przeczenie w języku polskim zaciera znaczenie tego zdania: „prócz myślenia pozostawało mi nic”. Myślenie należy do świata logiki, świata uchwytnych znaczeń oraz precesujących sensów, i jako takie cechuje istotę ludzką. Witold jeszcze próbuje myśleć, czynić z opisywanych wypadków uładzoną chronologicznie, fabularnie i kompozycyjnie historię. Ale poza tymi rachitycznymi wysiłkami pozostaje już tylko wielkie nic, w które niedawno wsiądkło słońce, nic, które okazało się niebem, i w które wyrzucały bohaterów otaczające ich góry. Zaniechanie tych wysiłków prowadzi do konstatacji: „luka w czasie, wszystko znaleźć można w kotle bezdennym stających się zdarzeń”<sup>56</sup>. To ekwiwalent „bełkotu rodzącej się chwili”, tylko że teraz materia jest już martwa, nawet nie bełkocze, jest niema i ślepa. To po prostu bezdenny gar z materialną kipiela, w który wpada się bez końca, zawsze w dół, niżej i niżej. Pod martwym księżycem pożyczającym światło od słonecznego nic, na umarłym globie i pośród martwych gór imploduje świat powszechnej, podziemnej martwoty, wciągając wszystko i wszystkich w swe bezdenne czeluście. Jesteśmy bardzo daleko za granicami świata ludzkiego. I oto zaczynamy tracić także resztki tego, co z ludzi zostało.

<sup>53</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 139–140.

<sup>54</sup> „poza obrębem «świata» oraz «światowości» nie ma żadnego jestestwa («Dasein»)”. A. Gall, *Rozgrywka z filozofią*, w: *Witold Gombrowicz nasz współczesny*, s. 359.

<sup>55</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 139.

<sup>56</sup> Tamże.

Ruch bohaterów odbywa się w dół, konsekwentnie w dół:

Dziwna jazda, nieoczekiwana, zaczęliśmy zjeżdżać z wyżyny [...] wjechaliśmy w dolinę [...] Byłem na wyżynie spadającej ku domowi. [...] Szli pod przewodem Leona [...] Dołączyłem do nich, gdy zaczęli schodzić z ledwie widocznej dróżki w zarośla. [...] „Wodzu, prowadź!” „W dół, zamiast w górę?” „Widoki w dole?”<sup>57</sup>

Cała grupa prowadzona przez Leona dociera do wielkiego głazu i polanki. Wojtys, pełniący od początku wycieczki rolę *cicerone*, zaczyna po ciemku, tylko w świetle latarki, szukać spinki od mankietu. Nagle latarka – ostatnie źródło światła, które nie tchnie martwo (choć zarazem nie jest to światło naturalne, lecz sztuczne) – gaśnie. „Przedłużało się i przedłużało. – opowiada Witold – Nikt mu nie przerywał i dopiero po kilku minutach Lulusia odezwała się miękko, troskliwie «co się panu zdarzyło, panie Leonie?» Odpowiedział «nic»<sup>58</sup>. Nie słyszę w tej odpowiedzi podwójnego polskiego przeczenia. Leon mówi: „stało mi się nic”. Dalsza relacja Witolda:

wszyscy [...] stali się jego... widzami... myśmy byli po to, żeby widzieć... [...] Czas upływał. Niespodziewanie oświetlił latarką własną twarz. Binokle, łysina, usta, wszystko. Zamknięte oczy. Lubieżnik [...] Powiedział: „Innych widoków nie ma”. Zgasił. Zaskoczyła mnie ciemność, stało się ciemniej niżby można było przypuszczać [...]»<sup>59</sup>.

Noc (parechetyczne „nic”) otula wszystko. Zwróćmy uwagę na grę spojrzeń – to teatr, ale zaprzeczony, pozbawiony obligatoryjnego reżimu widzialności. Scena jak z horroru: Leon oświetla własną twarz, to jedyny jasny punkt w całym skąpanym w mroku martwym kosmosie. Oczy ma zamknięte. Wszyscy patrzą na niego. Mówi: „innych widoków nie ma” – światło gaśnie. Eksploduje zgęstniała czerni, jak jeszcze nigdy od początku powieściowych wydarzeń. Co się dalej dzieje z Leonem? Relacja Witolda:

<sup>57</sup> Tamże, s. 85, 143–144. Nie jest to tradycyjna katabaza. Wycieczka w góry to nie zejście do świata zmarłych, z którymi można by, jak Eneasza, rozmawiać (również żaden szlak nie wiedzie stąd do Elizjum). Choć i Wergiliusz pisał o ciszy, pustych głuszach milczącego, bezsłonecznego państwa Plutona (Wergilijusz, *Eneida*, Ks. VI, s. 154 i nast.). Wstąpienie w górski grób wszystkiego oznacza przejście do świata nieludzkiego i niezwierzęcego, gdzie martwi są nie tylko ludzie i zwierzęta, ale nawet materia.

<sup>58</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 146–147.

<sup>59</sup> Tamże, s. 147.

wysilał się, pracował, celebrował świństwo swoje [...] Zaczął dyszeć. Dyszał rytmicznie. Nikt nie mógł dojrzeć, co on, jak. [...] Zajęczał. Jęk był lubieżny. [...] Zajęczał i zaskowytał. Skowyt, zduszony, gardłowy, był, żeby się uwszetcznić, [...] jak się wysilał, jak się świńskił z sobą [...] Dyszał. Skowyczał<sup>60</sup>.

Nie przekonują mnie odczytania tej sceny w kluczu erotycznym bądź erotyczno-liturgicznym<sup>61</sup>. Dzieje się ona w po wielokroć martwym świecie i pod płaskim niebem. Oto wszystko domykają ścianki kosmicznej trumny: denko i ściany martwych gór oraz wieko martwego nieba. Nie tylko wszyscy są przywaleni zwałami martwych kamieni, ale dodatkowo zamknięci w sześciu ścianach martwoty. To jest wnętrze grobu. I dzieje się tutaj ostateczny upadek, degradacja stworzenia, które kiedyś było człowiekiem. To, co zostało z Leona, doznaje inwolucji (wyznaczonej m.in. figurami etymologicznymi, onomatopejami): świni się, zajęczy, jęczy, skowycze, uwszetcznia się, dyszy. To już nie człowiek, nie wiadomo nawet, czy jakiegokolwiek zwierzę. Nie obowiązują antropologia, zoologia, żadna ontologia kategorii. Mocą logiki podziemnej, w konsekwencji wszechogarniającej martwoty i hybrydyzacji dochodzi pod koniec powieści do ostatecznego upadku wszelkich kategorii i w o ogóle całego ludzkiego świata. Gombrowicz przebija się przez zwały martwoty ku światu nie tylko nieantropocentrycznemu czy domenie tego, co nieludzkie, ale wręcz ku odległym horyzontom manifestującym się poza biegunem niesamowitego.

Odnotowana przez Witolda „luka w czasie” łączy się z zaskakującym – oznaczonym pauzą trzech myślników – fabularnym cięciem: następuje moment kosmogoniczny. Wydarza się kolejne stworzenie świata. Najpierw jest potop, wszechobecność wód wszelakich, i zmieszane są ciemność ze światłością, a tchnienie wiatru przenika prymordialny oddech:

lunęło, woda zaczęła walić, wiatr się zerwał [...] tuż przed nami w ciemności ciemnej, przerywanej tylko błyskami zrozpaczonych latarek, ściana prostopadła wody spadającej i wtedy, w świetle tych latarek widziało się jak leje, spada, i strumienie, kaskady, jeziora, ciurka, sika, chlupie, jeziora, morza, prądy wody gulgoczącej [...]<sup>62</sup>

Nie jest pewne, czy erupcja logiki podziemnej skutkuje implozją kosmicznej *mana*. Nie ma tu też żadnej figury demiurga (jego akolici, jak ksiądz, to jednostki najsłabsze ze słabych), więc i nie ma komu stworzyć nowy świat.

<sup>60</sup> Tamże, s. 148.

<sup>61</sup> E. Fiała, *Homo transcendens w świecie Gombrowicza*, Lublin 2002, s. 176–178; Ł. Tischner, *Gombrowicza milczenie o Bogu*, Kraków 2013, s. 256–258.

<sup>62</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 148.

Aktywizujący się i sytuujący „po tamtej stronie” Witold wprawdzie zabija kota, powtarza neurotycznie: „Ja to zrobiłem. Ja byłem sprawcą”, okazuje się zdolny do działania, nie tylko do reagowania. Ma moc sprawczą, ale czy podobną do performatywnej mocy aktywnej materii? Wydaje się, że jest w stanie jedynie produkować analogony powieszzonego wróbla<sup>63</sup>, zamiast na przykład osiąść Lenę i spłodzić z nią kolejne pokolenie (tak się prawdopodobnie stanie między Henią i Karolem po końcowych wydarzeniach opisanych w *Pornografii*; znaczące jest, że i „trzy pary miodowe” nie posiadają dzieci). A jednak następują potop i kosmogeneza – świat niepostrzeżenie zostaje ustanowiony od nowa. Przyczyna i skutek zwijają się dośrodkowo. Fabularyzowane metafory i hypallage sprawiają, że niczym na wstędze Möbiusa czy ciele Uroborosa koniec i początek stają się nieodróżnialne (jednocześnie wymieszane zostają wszystkie elementy, wszystkie żywioły<sup>64</sup>). I tylko „potrawka z kury” (czyli nie-wróbla, ale w takim razie cokolwiek wróbla<sup>65</sup>) złowieszczo sugeruje, że wszystko wydarzy się ponownie. Kura (ptak/nie-ptak) to instalacja w tym świecie możliwości jego końca, zmierzchu. Wraz z unoszonymi na wodzie słomką i patykiem wskazuje, że ten świat może znowu wypaść z ram, z kolein ku nieludzkiemu horyzontowi niesamowitego oraz dziwnym przejawom niesamowitości dla niesamowitego, które kiedyś – mocą logiki podziemnej – także i w tym świecie implodują.

Na kartach powieści Gombrowicza manifestuje się nie tylko niesamowite jako dziwny biegun świata ludzkiej swojskości, ale wręcz niesamowitość jako inny biegun niesamowitego. Spoza horyzontu dwubiegunowych relacji: materia – człowiek, rzeczy – przedmioty, niesamowite – swojskie, wschodzi zgęszczoną materią nocnej, nicościowej czerni niemożliwy trzeci brzeg Styksu – „inna niesamowitość”. Niesamowitość niesamowitości.

Jeżeli to jest niedorzeczne, to dlatego, że nie ma już żadnych rzeczy. Jeżeli to jest niemożliwe, to dlatego, że utracona została jakakolwiek możliwość. To po prostu domena, w której niktą wszelkie horyzonty.

---

<sup>63</sup> Wskazuje na to nie tylko zaduszenie kota, ale także scena z ustami księdza oraz wcześniejsze słowa: „A teraz trzeba będzie powiesić Lenę” (tamże, s. 143).

<sup>64</sup> Por. O. Freudenberg, *Co to jest eschatologia?*, przeł. A. Pomorski, w: *tejże, Semantyka kultury*, red. D. Ulicka, Kraków 2005, s. 376–377.

<sup>65</sup> W. Gombrowicz, *Kosmos*, s. 86, 148.



## Trip to the Mountains: Journey to the Centre of the Earth. Space of the Tatras in Witold Gombrowicz's *Cosmos*

### Summary

The article indicates how the mountainous space is articulated in *Cosmos* in its "logical-underground" manner. The gradual occurrence of random improbabilities permeates the novel. In addition, the book reveals marked differences in how tangible matter is represented in its first part (the guest house events) and in its description of the Tatras. Eventually, the journey of the living protagonists ends under the mass of inanimate matter, thus obliterating the cohesion of human and animal world, and even of corporeality as such. This is how the human polarity – the improbable – demonstrates itself and how it multiplies indefinitely.

**Keywords:** Gombrowicz, *Cosmos*, mountains, matter, activity, performative character, aquatic metaphors, visibility